

śnie, który nie opuścił mnie i tym razem. Jak zwykle znalazłem się w lesie koło chatki przy dębie.

— Jest to las dębowy, który ukazuje się panu we śnie?

— Nie, sosnowy, znajduje się jednak w nim i kilka dębów. Wygląd tej okolicy przypomina lasy w Landes. Szedłem dość szybko przez wydeptaną ścieżkę, gdy nagle uwagę moją zwrócił jakiś przedmiot bardzo czerwony, leżący na ziemi pośrodku drogi. Schyliłem się i podniosłem go: był to koralowy różaniec, zupełnie podobny do tego, jaki znalazłem na przylądku Ferret: ta tylko zachodziła tutaj różnica, iż na jawie był on w futerał, we śnie zaś widziałem go bez niczego. Oto zresztą on.

Pan Leyre podał mi czarny skórzany futerał w kształcie portmonetki; zawierał on w sobie czerwony koralowy różaniec o okrągłych ziarnkach na srebrnym łańcuszku, zamykanym na serce; zakończony był srebrnym medalikiem z Matką Boską z Lourdes. Był to przedmiot do nabożeństwa bez wielkiej wartości materialnej. Powąchałem futerał, który wydawał lekką woń, właściwą skórą rosyjską.

— Proszę, niech pan dalej mówi — rzekłem do pana Leyre'a.

— Szedłem dość szybko przez las i po upływie jakich dziesięciu minut znalazłem się na szerokiej drodze, wysadzonej dużymi drzewami. Minąłem ją i przybyłem do jakiejś prywatnej majątności, do której wstąpiłem przez otwartą bramę w wysokim białym malarowanym ogrodzeniu. Wszedłem w aleję, długości około siedmiuset metrów, która doprowadziła mnie do sztachet, okrążających dom. Ujrzałem przed sobą ten sam dom, o którym już panu mówiłem, z terasą wzdłuż całego parteru. Oczy me znowu skierowały się do okna na pierwszym piętrze i pozostałem tam długo, przypatrując się mu. Nie próbowałem już odwrócić zwroku i cierpliwie znosiłem mękę, jaką mi sprawia każdej nocy na imaginacya. Sen ten uważam za bezmyślny i gniewa to mnie bardzo, iż tak stać muszę przed sztachetami, których nie mogę przekroczyć.

— A czy starał się pan to uczynić?

— Nie! Wydawało mi się zbyt trudnem przechodzić przez nie.

— W śnie nic się nam nie wydaje niemożliwem.

— Właśnie zupełna zdolność wnioskowania i myślenia charakteryzuje mój sen. Wiem, że w snach brak za zwyczaj ścisłego ocenienia rzeczy, lata się wtedy w powietrzu, chodzi po wodzie, dokonywa się rzeczy nieprawdopodobnych. Podczas jednak mego snu wydaje mi się, że jestem obudzony: oceniam rzeczy, jakbym to czynił na jawie i dlatego nie wdrapuję się na sztachety, ponieważ wydaje mi się to trudnem i nieodpowiedniem.

— Pozwoli pan, że dam jedną radę.

— Proszę bardzo.

— Niech pan zapragnie, ale bardzo, przejść przez to ogrodzenie, tak jakby ono było urojone. Postara się pan to uczynić?

— Bezwarunkowo.

— I o wszystkim, co się stanie, zawiadomi mnie pan. Uwolni się pan od tego uczucia sparaliżowania, które pana niepokoi i może otrzyma pan jakie nowe wrażenia.

— Dobrze.

Leyre pożegnał się i wyszedł, po nim zaś przybywali nowi pacjenci, którzy zajęli mi cały dzień, tak iż dopiero wieczorem mogłem zastanowić się nad jego niezwykłymi symptomami. Wypadek jego zaciekał mnie coraz bardziej i chciałem poznać wynik doświadczenia, jakie mu doradziłem. Przypomniałem sobie sławne badania mych kolegów z panią Piper, które wykazały u niej istnienie specjalnej uczuciowości. Zwykły klejnocik wywoływał u niej widzenie biżuterii, którą sama dawniej nosiła; trzymając go w rękach, mogła, jakby czytając jakieś tajemnicze znaki, opisać charakter i główne wypadki życia jego właściciela, choć go nigdy nie znała i nie widziała. Spojrzenie tej kobiety zdawało się przenikać zasłonę przecielażącą nasz świat od świata mistycznego.

Czy pan Leyre podlegał podobnym tajemniczym wpływom nieznanych sił? Czy ukryte własności róż-

zańca działały bezwiednie na jego umysł i przedstawiały mu we śnie środowisko, w jakim żyła osoba, która modliła się na tym różańcu? Czy niema właśnie w modlitwie tej, akcie skupienia, myśli i namiętności, pragnienia jakiegoś niezwykle silnego i trwałego wpływu udzielającego się przez ten przedmiot nabożeństwa temu, kto go się dotyka? Tak błędziły myśli me, przypisując zwykłemu różańcowi znalezione przez pana Leyre jakieś tajemnicze, skryte właściwości.

Na drugi dzień rano pacjent mój przybył znowu do mnie: było dopiero pół do ósmej.

— Przychodzę wcześniej — rzekł mi — gdyż kwadrans po ósmej muszę doglądać analiz w laboratorium. Ośmieliłem się jednak zająć panu czas, gdyż przynoszę panu nowy szczegół, który może pana zainteresuje. Przeszedłem przez sztachety! Dał mi pan doskonałą radę.

— Ach! — zawołałem z ciekawością — niechże mi pan to opowie.

— Oto, jak się wszystko odbyło. Sen mój powtórzył się jeszcze tej nocy. Po przybyciu do szta-



Pan Leyre podał mi czarny skórzany futerał w kształcie portmonetki.

chet *chciałem* je przejść. Zaraz też znalazłem się po drugiej stronie, nie spostrzegłem jednak w jaki sposób przebyłem to ogrodzenie. Stało się to błyskawicznie. Skierowałem się wtedy ku domowi i doszedłem przez dobrze utrzymany park do terasy znajdującej się na parterze. Przebyłem siedm wielkich szerokich schodów. Terasa ta liczy mniej więcej cztery metry szerokości i około dwudziestu metrów długości, ogrodzona jest kamienną balustradą z fajansowymi ozdobnymi wazami, w każdej z tych waz z niebieskimi malowidłami na białym tle kwitnie czerwone geranium. Front domu ma siedm okien.

Zdarzyła mi się jednak dziwna rzecz: bez najmniejszej trudności mogłem dojść do terasy, lecz dalej musiałem przechadzać się tylko na przestrzeni od okna, o którym panu wspominałem do drzwi wchodowych. Zbierałem całą swą wolę, by minąć i tę granicę, czułem jednak, że nie mogę jej przejść. Spacerowanie to trwało aż do obudzenia się. Policzyłem, ile kroków musiałem zrobić od środka terasy do jej końca, wskutek czego mogę podać jej wymiar. Policzyłem także wazy na balustradzie: jest ich, osiem. Stały tam krzesła i fotele trzcinowe: trzy krzesła i dwa fotele. Na jednym z nich leżała książka, chciałem ją przejrzeć, lecz nie mogłem tego uczynić. Ręka moja nie odczuwała żadnego opo-

ru, dotykając się jej i zdawało mi się, że palce moje przenikają poprzez książkę. Mimo to miałem uczucie chodzenia po twardych taflach kamiennych, niematerialność zaś zauważyłem tylko przy przedmiotach, których się dotykałem. Bez trudu przechodziłem przez fotele i balustradę, gdy ją minąłem znalazłem się zawieszony w powietrzu, zdawało mi się, że padam i obudziłem się gwałtownie, drżąc całym. Serce biło mi silnie, zimny pot okrył mi czoło, czułem się źle. Błagam doktora niech mnie uwolni od tych snów, od których rozchoruję się poważnie.

— Niech pan nie przesadza. Wyznam panu szczerze, że nie znam żadnego pewnego środka na pański stan. Mogę poprościć i dać panu lekarstwa uspokajające lub narkotyczne, nie ręczę jednak, czy one co pomogą, natomiast używanie ich przez dłuższy czas z pewnością podziała ujemnie na organizm. Mogłbym zastosować dla pana metody psychoterapicne, byłyby one lepsze, nie uważam ich jednak za zupełnie odpowiednie. Zdanie swe opieram na tych dwóch podstawach: metody te nie są nieszkodliwe; wystawiają chorego na pewne niebezpieczeństwo, zwłaszcza w wypadku podobnym do pańskiego. Zamiast zmniejszyć, mogą rozwinąć wrażliwość takich chorych na pewne nieokreślone jeszcze wpływy. Lekarstwo byłoby może gorsze od choroby. Zresztą stan pański wcale mnie nie zatrważa. Objawia się u pana pewien bardzo specjalny i rzadki proces fizjopsychologiczny, nie wydaje mi się on jednak patologicznym. Niech pan da możność rozwinąć się tym wrażeniom i na razie nie przeszkadzajmy im. Jeżeli pan chce zanalizować swoje widzenia, znajdzie pan łatwo wytłumaczenie swego wzruszenia.

— W jaki sposób?

— Powiedział mi pan poprzednio, że pańskie wrażenia są nadzwyczaj żywe. Czyni pan wielką różnicę między swymi snami zwykłymi, a obecnymi, na które pan się użala. Mimo swego napięcia, wrażenia te są tylko wyimaginowane; istotnie, gdy pan zechciał przejść przez sztachety, dokonał pan tego bez trudności.

— Tak, nie mogłem jednak przekroczyć granicy prawej strony terasy.

— Zaraz! Dojdziemy i do tego; na razie zajmujemy się tylko czynnikami urojonym. Czynniki ten ujawnia się także i w innych szczegółach: palce pańskie nie odczuwały żadnego oporu przy dotykaniu książki; mógł pan przejść przez fotele i balustradę i zawisnąć w powietrzu. Czyż nie tak?

— Owszem, tak!

— Co z tego można wywnioskować? Doświadcza pan dotyku przy chodzeniu po ziemi, lecz tego pan spodziewał się; odporność powierzchni jest koniecznym warunkiem życia naszego na ziemi, a nie ponad ziemią; toż samo jest i z nieprzenikliwością materii. Stwierdził pan w czasie pierwszych swych snów, że sztachety

stanowią przegrodę.

— Tak.

— Zdziwił się pan następnie, dlaczego te sztachety stały się dostępnymi do przejścia przez nie. Pochodzi to stąd, iż pan sam nie uważał już ich za przegrodę dla siebie. Pojęcie sztachet we śnie miało tylko tę rzeczywistość, jaką im pan instynktownie, z przyzwyczajenia przypisywał. Przekonany jestem nawet, że tylko przypadkowo odkrył pan niematerialność tej książki. Niech pan przypomni sobie swe wspomnienia.

Leyre zastanowił się na chwilę.

— Ma pan słuszność — rzekł mi. — Mogłem dotykać się książki i czułem pod palcami papier, nie mogłem jednak przewracać jej kartek. Zdołałem przeczytać jej tytuł, była to powieść Oktawiusza Fenilleta: *Romans ubogiego młodzieńca*.

— A więc znowu jest dowód, że we śnie zachował pan pojęcie, iż ta książka jest złudzeniem, wyobrażeniem tylko niematerialnem i dlatego nie przedstawiała ona dla pana właściwości materii. W śnie tym widuje pan rzeczy tak, jak one są, nie może jednak pan na nie działać. Jest to rzadki wypadek psychologiczny, który polecam szczególnie pańskiej obserwacji. Nadaje on temu snu specjalny charakter.

(Ciąg dalszy nastąpi).